



# WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.



## DZIECKO.



*Ze słynnego obrazu ang. malarza Drummonda.*

Na ulicach ścisk, tłok, wrzawa,  
Wielkie miasto w zgiełku tonie:  
Różnobarwna pieszych ciżba,  
Omnibusy, wozy, konie...  
Krzyżujących się szeregów  
Rząd za rzędem wciąż się zmienia,  
A nikt darmo nie da kroku,  
Ani rzuci w bok spojrzenia.  
Nikt nie straci próżno chwili,  
Czy marudząc, czy się leniąc,  
Bo na myśli wszystkim stoi:  
— Czas to pieniądz! czas to pieniądz!

\* \* \*

Na ulicach ścisk, tłok, wrzawa,  
Pędzi ludzka fala rwąca;  
Kto zwinniejszy — ten prześciga,  
Kto silniejszy — ten potraça.

Każdy naprzód bez wytchnienia  
Z wytrwałością mknie zajądłą.  
Bo nie wróci, co raz minie,  
Z woza spadło, to przepadło.  
Więc nie tracą darmo chwili,  
Ni marudząc, ni się leniąc,  
Bo na myśli wszystkim stoi:  
— Czas to pieniądz! czas to pieniądz!

\* \* \*

Wtem — u zbiegu ulic kilku,  
Gdzie największe zamieszanie,  
Nagły spokój! — i na chwilę  
Wszystko staje niespodzianie.  
Strażnik rękę podniósł w górę,  
Znak zbyteczny! — tłumu ława  
Już się sama zatrzymuje,  
Jak zakrzepła w biegu ława.

Nikt nie gniewa się ni sarka,  
Zrozumieli, co się stało:  
W poprzek drogi, wśród natłoku  
Małe bobo kroczy śmiało!

\* \* \*

Zapatrzone i spokojne  
Przez ulicę kroczy bobo; —  
Nie wie, że tok czasu wstrzymał  
Setkom osób swą osobą —  
Że te koła, co stanęły,  
Że te konie, co nie biegą,  
Że ten cały ruch przerwany  
To dla niego i przez niego; —  
Że nikt czasu nie żałuje  
Dla dziecięcej jego Mości,  
Bo on symbol jest nadziei,  
Bo on symbol jest przyszłości!



## Z listów do młodszej przyjaciółki.

### I.

Kochana Jadziu moja! Przykrę ci, żeśmy się tak wczesnie rozstać musiały, że ja nie mogłam, stosownie do życzenia ś. p. matki twojej, być przy tobie jeszcze lat parę i kierować młodziuchnym umysłem i serduszkim twojem, które, niby wiotki powój, szuka podpory, by ją opłatać miękką lodygą swoją. Wiesz jednak, że gdy się okoliczności zmieniły i twa szanowna ciotka zapragnęła cię mieć w swym domu, obecność moja stała się zbyt ciężka. Obiecałam mi, że będziesz sama dalej pracowała w wytkniętym kierunku, że ukończywszy to, coby można nazwać średnim kursem nauk, nie przestaniesz na tem i postarasz się rozwinąć umysł swój, rozszerzać poglądy, wznosić i uszlachetniać myśli swoje. Szkoda byłoby rzucić niwę naukową wtedy właśnie, gdy wzmocony i systematyczną pracą przygotowany umysł zdolny jest przyjąć nowy zasiew i tym obfitszym odplącić plonem, im staranniej rola wzruszona i spulchniona była.

Dzięki zdolnościom twoim wrodzonym i pilności ciągłej, wcześniej może niż inne dziewczeczki przeszedłś to, co się uważa za konieczne do średniego wykształcenia panienki, nie przygotowującej się do żadnego specjalnego zawodu. Uczylaś się prócz języka ojczystego i trzech obcych, historii, geografii, nauk przyrodniczych, fizyki, arytmetyki geometrycznej trochę; masz o tem wszystkiem ogólne pojęcie, a nawet dzięki sumiennej pracy, jesteś w porządku z datami wypadów historycznych, ważniejszymi cyframi statystycznymi i nie podzielasz wstrętu rówieśniczek wielu do gramatyki i rachunków, poznawszy gruntownie pierwszą a nabywszy wprawę w drugich.

Gdybyś przebywała w mieście, mogłabyś, uczęszczając na wykłady rozmaite i biorąc udział w dalszych lekcjach, dopełniać twej wiedzy pod kierunkiem ludzi światłych i wymownych. Opatrzność jednak przeznaczyła ci życie na wsi, gdzie po większej części sama sobie wystarczyć musisz, a w okolicy, gdzie się obecnie znajdujesz, trudno ci będzie między otaczającymi sąsiadami szukać rady lub podniety do pracy umysłowej. Tem więcej powinnaś czuwać nad sobą, żeby się nie dać pochłoniąć owemu życiu drobnotkowemu i blahemu, co myśl naszą rozprasza i na drobne szczegółki i podrzędne kłopotki lub rozrywki, osłabia naszą energię moralną i powoli, niepostrzeżenie, wsiąkając do duszy, wyziewa w niej szlachetniejsze pierwiastki, ostudza owe iskierki zapału, które błyszczeć powinny w każdym młodem serduszkach i starannie wypielęgnowane — kiedyś zamienić się w ogień miłości dla Boga i ludzi, dla wszystkiego, co piękne i szlachetne, w ogień płonący jasno, lecz spokojnie, trwający przez życie całe, nie dający się zgasić burzom świata tego, ani złowrogim powiewom, ani łom naszym własnym.

Cóż to za poważne kazanie zamiast listu! zawoła może dziewczeczka moja, ale to twa własna wina, Jadziu miła, żeś starą swoją nauczycielkę wyzwała na słowa i teraz będziesz musiała słuchać jej rad i napomnień. Nie myśl jednak, dziecko drogie, żeby cię zachęcała do usuwania się od zajęć domowych, od tych starań około gospodarstwa, do których cię dobra ciocia nakłania, od robót ręcznych, tak potrzebnych kobiecie w każdym wieku i położeniu, a nawet od zajęcia się (tylko w miarę!) ubraniem i strojem, co jest rzeczą naturalną w twoim wieku. Przeciwnie: prawdziwe wykształcenie polega na tem, by jedno z drugim umieć pogodzić, a wszystko zręcznie spleść w jedną całość, użyteczną sobie i drugim, a nadającą wdzięk życiu i otoczeniu.

Splatajmy więc ową całość, Jadziu moja! ale na dziś dosyć kazania i gawędki: jeżeli się przestraszysz perspekty-

wą odbierania wielu podobnych, odwołaj tylko to, coś w ostatnim twym liściku napisała, ale kochaj zawsze.

Twoją przyjaciółkę i nauczycielkę

M. S.

Zofia Kłowerska.

## W SUCHOWSKIM DWORZE.

(Dalszy ciąg).



gdzieżeście wy te pieniądze mieli? — zapytał Wojciech.

— Za płatewką, nad stajnią!

— Toby tam przecie nikt nie znalazł, chyba, że kto wiedział! No, macie świecę oprawioną w latarnię, to teraz was puszcze między siano.

— Juści wiedział, juści wiedział! Taki byłem głupi, że cygance wypaplał.

— Oj, oj, oj, to prawda, że to jenszy człowiek jest głupi!

— Oj głupi, głupi, Wojciechu! Ale tak pejdziała: Powiedzcie mi, gdzie chowacie pieniądze, a ja tak zrobię, że się podwoją i jeszcze wam powiem, gdzie skarb zakopany. A to skaranie Boże z tą kłódką!

— Ha, jakeście wszystko wyśpiewali cygance, to cyganie przyszli i zabrali jak swoje.

W tej chwili kłódka otworzyła się nareszcie i Michał a za nim Marcin pobiegli na strych. Rozległo się spieszne stapanie a potem dał się słyszeć krzyk przeraźliwy Michała.

— Niema worka!

Rozpacz biednego człowieka była nie do opisania. Płakał, tłukł głową o mur, chciał biedz do cyganów, żeby im odebrać zdobycz. Był nawpół przytomny, z piersi jego wydobywały się jęki. Budził litość i chłopcy byli serdecznie zmartwieni jego rozpaczą.

— Fleż tam było tych pieniędzy w woreczku? — zapytał stróż.

— 195 rubli.

I na wspomnienie tej względnie bardzo znacznej sumy Michał nową wybuchnął rozpaczą.

— Tu jeszcze z tego będzie jakie nieszczęście! — szepnął Wojciech do pana Zabrzskiego. — Już ja go tam będę pilnował, żeby sobie co złego nie zrobił.

— Mój Michale — ozwał się pan Zabrzski — jutro zawezwę strażników, którzy muszą rzecz zbadać. Uczynię co tylko będę mógł, żebyś odzyskał swoje pieniądze.

— O, już ja ich nie odzyszczę — zawodził Michał — już poszły do ludzi! Już ja się niemi nie nacieszę, już ja się ich nie naoglądam i nie narachuję! A i gruntu własnego już moje ręce orać nie będą! Już mnie nie siał i nie zbierać na własnej roli, już mi we własnej chałupie nie siedzieć! O, dolaż moja dola!...

— Mój Michale, stracić kogo ze swoich rodzonych, to już się wrócić nie może, ale pieniądze zawsze jeszcze można odzyskać. Idź teraz spać, przy dniu ci twoje zmartwienie zmaleje. I my chłopcy spać pójdziemy!

### VI.

Nazajutrz chłopcy wstali późno, zmęczeni bezsennością, ale z głową pełną wspomnień i jeszcze pod wrażeniem wypadków nocy ubiegłej. Z przyjemnością opowiadali Zosi i Alusi o wszystkim, czego byli świadkami i okazali się nawet pełnymi dumy w obec siostr swoich.



— Już ja tam zawsze wolę być chłopcem, niż dziewczyną! — ozwał się Zdziś. — Przynajmniej mogę z mężczyznami chodzić po nocy, łapać złodziei i bronić wszystkiego.

— A ładnie obroniłeś pieniądze Michała! — przerwała Alusia.

— Nie obroniłem, bośmy wyszli za późno, ale może jeszcze nieraz w życiu nie jednego obronię, a kobieta to tylko zawada.

— Ja zaś szczerze mówię, że wdzięczna jestem Panu Bogu, że mię uczynił kobietą! — ozwała się Zosia.

— Ha, ha, ha! — rozśmiał się Zdziś.

— Eh, taka kobieta jak ty, to co innego! Aleksander Wielki, gdyby nie był Aleksandrem, to chciałby być Dyogenesem, a ja gdybym nie był chłopcem, to chciałbym być taką dziewczyną jak ty, Zosiu! Tylko broń Boże nie taką jak Alusia!

Alusia się obraziła i byłoby może przyszło do prawdziwej kłótni, gdyby nie nagłe zatrzepotanie się kanarków w klatce, wiszącej u okna. Nim sobie zdano sprawę, co się stało, kot, największy faworyt Alusi zeskoczył z klatki i począł spieszenie uciekać. Alusia z krzykiem pobiegła do kąta pokoju, zakryła oczy rączkami, przycisnęła twarz do ściany i poczęła zanosić się od płaczu. Chłopcy pobiegli za kotem a Zdziś, który plemienia kociego nie lubił za jego chytryść, uzbroił się w narzędzie kary, w laskę pana Chlewiatki, położoną przez niego na półce zamiast dykcyonarza, który potulnie i skromnie stał sobie w kącie pokoju. Kot był już na dachu bocznego ganeczku i ztamtąd wysłuchał nieparlamentarnych słów Zdzisia, który go łaską do sięgnąć nie mógł.

Gdy chłopcy wrócili do pokoju, Alusia stała jeszcze zawsze w kącie i obrócić się nie chciała. Zdziś próbował żartem skłonić ją do przybrania innej pozycji.

— Przynoszę ci kanarka — zawołał — tego czubatego, ukochanego, odebrałem Miziusiowi!

— Nie chcę, nie chcę na niego patrzeć — mówiła, szlochając Alusia. — On pewno pokaleczony, on pewno nieżywy!

— To też ja za to Miziusiowi kości poprzetrącałem.

Teraz cel był osiągnięty, Alusia odwróciła się czerwona od gniewu i grozy.

— Gdzie Mizius, gdzie Mizio! Oddajcie mi Miziusia! Ja i kanarka kocham i Miziusia kocham! Cóż on biedak winien, że jest kotem.

— Już nie jest kotem, tylko nieżywą powłoką kota!

— I tyś to zrobił? I tyś to zrobił? O ja nienawidzę chłopców! Tylko chłopiec może być taki okrutny, taki niemiłosierny, taki...

Zdziś ukłonił się z przesadą.

— Pani generałowa ma ochotę pomścić śmierć ulubieńca za pomocą dosadnej wymowy, jaką jest uderzenie pięści?

Zosia stanęła między Zdzisiem i Alusią.

— Wstyďte się dzieci! — rzekła słodko — Zdzisiu, ty masz takie dobre serce, a nie rozumiesz, że naprawdę drażnisz Alusię i doprowadzasz ją do rozpacz i złości. Alusiu, czyż ty nie widzisz, że Zdziś żartuje? Twój, czubaty kanarek skacze sobie w klatce wesoło, choć może małe jego serduszek kołacze mu się w piersiach Mizius w istocie nie jest bez winy, bo z pewnością zgrzeszył intencją. Ze mu się chciało żółtego ptaszka wyciągnąć łapką z klatki, to nie ulega wątpliwości, ale nie znał praw o roównowadze, nie był dość przebiegły i chcąc zbyt prędko dokonać operacji, przechylił nagle klatkę i spadł z niej, nie uczyniwszy szkody kanarkom. Uciekł ze strachu, poznawszy Zdzisia, któremu płacił wzajemnością za jego nienawiść do kotów.

— Co, żyją obadwaj? — zawołała Alusia. — Żyje i Mizius i Czubyś?

Pobiegła ku klatce i wzniosła ku niej złożone ręce.

— Żyje, żyje. — wołała. — O, Zdzisiu, ja ci przeba-

czam! Medorek był dość zły dla Miziusia a ja mu przebaczyłam! I tobie przebaczam, choć jesteś człowiekiem!

— No widzisz — rzekł Zdziś — czy to nie lepiej być chłopcem? Czy jest na świecie chłopiec taki bek, taki mazgaj, jak ty? Zamiast ratować kanarka, którego w twej wyobraźni Mizius niósł w pysku, tyś zakryła oczy rękami i wpakowałaś twarz w najciaśniejszy kąt!

— Bo dziewcząt do wojska nie biorą! — rzekła kwaśno Alusia. — I tak jest od niepamiętnych czasów, więc się z nich takie tchórzliwe istoty porobiły. To tak, jak koty rozpieszczane, które myszy łapać nie chcą, bo śpią na piecu i mają gotowe jedzenie. Pawłowa mówiła, że Maciusz z kuchni ucieka przed szczurami, jakby go kto gonił.

W tej chwili pan Zabrzęski stanął w progu pokoju. Żadne z dzieci jeszcze go dnia tego nie widziało, bo wyszedł z pokoju, gdy chłopcy spali jeszcze, więc się całą gromadką rzuciła do niego, chwytając jego ręce i wołając na wyścigi:

— Dzień dobry, tatuńciu! Dzień dobry tatuńciu! Tatuńcio tak rano wstał! Tatuńcio tak mało spał tej nocy!

— Rano wstałem, bom chciał złapać jeszcze cyganów w lesie. Posłałem po policyę, ale już ani śladu obozu, ani śladu ogniska. Namioty, konie, wszystko jak w wodę wpadło. Ludzie konno rozesłani po okolicy. Może jeszcze potrafimy cyganów wytropić. Tylko gdyśmy szperali w okolicy ogniska, zobaczyłem pod krzakiem coś białego i kijem z pod liści wyciągnąłem jakąś porządną chustkę do nosa ze znakiem W. C.

— Wincenty Chlewiatko! — zawołały dzieci — to chustka pana profesora!

— Pan Chlewiatko jeden za wszystkich się zemścił — rzekł Zdziś — bo nie cyganie jemu, ale on cyganom zabrał sztukę bieleziny!

— Ah, żeby się tylko znalazły pieniądze tego biednego Michała — rzekła Zosia z litością.

— Wyobraźcie sobie dzieci — odparł pan Zabrzęski, — że Michał zupełnie spokojny i tak prawie wygląda, jak gdyby był kontent. Powiada: — gruntu nie kupię, bo mi już widać nie sądzone być gospodarzem. Ale nie wielka szkoda. Ani mój ojciec, ani dziad, ani pradziad na gruncie nie siedzieli, tylko po dworach służyli to i ja tak będę!

— Jak to dobrze, że on się tak pocieszył i że ma taką filozofię — rzekła Zosia.

— Na pociechę ofiarowałem mu nową kłódkę do leżących drzwi strychu i nie może się jej dosyć naoglądać

(d. c. n.)



## Hajdamacy.

**B**abuniu, co znaczy ten obrazek? — zawołał Kazio, przybiegając do babci z numerem pisma w ręku.

— Moje dziecko, ten obrazek przedstawia obóz hajdamaków.

— A któż to byli ci hajdamacy?



— Byli to ludzie, trdniący się rozbojem i rabunkiem, którzy w XVIII wieku grasowali nad Dnieprem. Zbierali się w oddziały, na których czele stał tak zwany watażka i napadali na wsie miasta i dwory szlacheckie, rabując, paląc i biorąc do niewoli lub zabijając spokojną ludność.

— Straszni to byli ludzie! zawołał Kazio.

— Tak moje dziecko.

Opowiem ci co sama będąc dzieckiem słyszałam od mojej starej niańki. Motruna miała już około ośmdziesięciu lat, pamiętała więc bardzo wiele dawnych zdarzeń. Rodzice moi mieszkali w starym dworze wiejskim, który posiadał grube, jakby forteczne mury, drzwi od wejścia ciężkie dębowe, okute, nabijane gwoździami, na których jeszcze było znać ślady kul. Pod podłogą mieściły się głębokie lochy, czyli podziemia; o tych lochach mówiono, że służyły niegdyś za więzienie dla hajdamaków. Lochy te budziły w nas dzieciach postrach a zarazem ciekawość.

Raz, kiedy spostrzegłam, że Motruna jest w dobrem usposobieniu, co nie zawsze się zdarzało, przysunęłam się do niej i zaczęłam prosić, aby mi co opowiedziała o tych hajdamakach, którzy tam byli zamknięci. Motruna jakiś czas dała się prosić, aż wreszcie zaczęła opowiadać, jak to za jej dziecinnych lat jeszcze nie można było o zmroku wyjść tuż za las na pole, bo wszędzie za krzakami czyhał hajdamaka.

— A co to skarbów do dziś jeszcze leży zakopanych przez nich po lasach! — ciągnęła dalej moja niańka. — Słyszałaś może, moje serce, o tym Maksymie, który w całej wsi słynie za największego bogacza? Toż on, mówią, nie z czego innego się wzbogacił, tylko z tych skarbów, znalezionych w lesie, w czerwonym jarze.

Opowiem ci jeszcze jedno zdarzenie, które przytrafiło się mojej ciotce rodzonej. Mieszkała ona na futorze i dobrze się miała wraz z mężem.

Razu jednego patrzy, aż tu pędzą hajdamaków, zakutych w kajdany. Przyłapano ich na jakims rozboju, a teraz miała ich spotkać zasłużona kara. Moja ciotka stała pod bramą; gdy oni rozłożyli się na wypoczynek, ujrzała jednego z postrzeloną nogą, który ledwie włókł się, a że skwar był wielki, więc widać było, że już upada ze znużenia. Moja ciotka uczuła litość nad nim, bo chociaż to zbójca, ale zawsze człowiek. Tedy zaczerpnęła świeżej wody w dzbanuszek, wzięła kawał placka pszennego i podała mu to wszystko, aby się posilił. Hajdamaka wypił wodę z chciwością co do kropli, placek zaś schował w zanadrze, poczem zdzielała jego twarz jakoś pojąśniała. Spojrzał z wdzięcznością na ciotkę i rzecze: kiedyś ty taka miłosierna dusza, to ja ci powiem tajemnicę, która mnie jednemu już tylko wiadoma, bo ci wszyscy, co ją wraz ze mną znali, dziś w ziemi legli. Poczem wskazał mojej ciotce pewną miejscowość dobrze jej znaną, bo tam brat jej mieszkał, i tak dalej opisywał: Jest tam wielki las dębowy a w tym lesie polana



General Krystyan De Wett.

(p. Ze świata).



General Ludwik Botha.

Gdy skończył mówić, nadszedł żołnierz i przynaglił go do dalszego pochodu. Moja ciotka myślała długo nad tem, co usłyszała, ale jakoś wierzyć jej się nie chciało, żeby to wszystko było prawdą.

W rok coś potem pojechała do brata, w okolice wskazaną przez hajdamaka; razu jednego w rozmowie wspomniała o zdarzeniu, które jej się przytrafiło a gdy brat ciekawie zaczął ją wypytwać, opowiedziała mu wszystko dokładnie. Wiesz co siostrze — zawołał — spróbuję ja tam kopać. Wiem, gdzie rośnie owa stara topola, i jutro w nocy tam idę z motyką. Jak powiedział — tak zrobił. Co nocy chadzał pod topolę i kopał aż do rana, na dzień zaś przykrywał otwór suchymi gałęzmi. I cóż powiesz, moje serduszko? Tak, jak opisał hajdamaka: natrafił najpierw na kości ludzkie i wózek na pół już spróchniały, potem, o parę sążni głębiej ukazał się krzyż kamienny, ale wujek, gdy go podźwignął, uczuł jakąś dziwną trwogę; przyszło mu na myśl, ilu to niewinnych ludzi poginęło, nim owe skarby zostały nagromadzone tutaj, i zdało mu się, że one muszą mieć ślady krwi na sobie. Nie chciał więc z nich korzystać i przestał dalej kopać, tak, że nie zdołał nawet przekonać się, czy w istocie na dnie studni mieściły się tak wielkie bogactwa, jak mówił hajdamaka. Krzyż zaś ów kamienny postawił w lesie pod topolą i on do dziś dnia tam stoi. Wujek nieraz wieczorami odmawiał pod nim modlitwy za spokój duszy pomordowanych na których owe skarby zrabowane były. Ciotka opowiadała mi to wszystko, gdy byłam taka mała, jak ty dzisiaj, oprócz tego nieraz mi mówiła, jak to ona z rodzicami, będąc jeszcze dziewczyną, kryła się przed hajdamakami, i gdy przyszła wieść, że oni są w pobliżu, wówczas gospodarze, czeladź i dobytek chronili się w niedostępnym jarze albo w lesie i tak było co noc, dokąd hajdamacy nie odeszli sobie gdzie dalej. Był szczególniej w naszej okolicy jeden wielki bór, sławny z tego, że tam hajdamacy mieli swoje kryjówki; każdy o ile mógł starał się go omijać.

— Na zakończenie, dodała babunia, opowiedziawszy owe dawne wspomnienia, przeczytam ci ustęp z pamiętników Kitowicza, który żył za Augusta III, właśnie kiedy najczęściej grasowali hajdamacy i opisał też dokładnie jak wyglądali: „Hajdamacy mieli piki, które nazywali spisami, z żelaznem ostrzem na obu końcach. Ta pika i samopał (broń palna bez zamku) stanowiły całe ich uzbrojenie. Proste siodło bez poduszki, wołok, drewniane strzemię i uзда cienka z rzemienia lub nici.



Burza w pustyni Gobi. (p. Ze świata).





Z obrazu Juliusza Kossaka.

Obóz Hajdamaków. (str. 115).



Jeźdźcy nosili koszule (soroczki) grube, czarne, wysmarowane słoniną, szarawary płóciennne lub z grubego sukna, na nogach lekkie buty czyli łapcie, na koszuli króciutki koniusz z cielej skóry niewyprawnej, bez pasa, z wielkimi wylotami, wiszącymi lub narzuconymi, na głowie czapka z cielej skóry, w kształcie ostro zakończzonego woreczka zrobiona, której koniec na prawę stronę się spuszczał. Cała głowa była ogolona, oseledec nad czołem wiszący, wąsy długie; brody jedni golili, drudzy zapuszczali."

M. Ł.

## Stefek Luty w Brazylii.

przez

Z. Bukowiecką.

### CZĘŚĆ TRZECIA.

W Rio Janeiro.

#### Rozdział X.

Halifaks. — Emigracya. — Dwa miliony dusz. — Ocalony. — Zeznanie w sądzie. — Na oceanie. — Mara. — Wyrzuty sumienia. — Przestrach. — Choroba. — Kto ocalił?

Halifaks, statek brazylijskiej kompanii przewozowej, wparł swój olbrzymi kadłub w zwarte kłęby bałwanów i sapiąc z natężenia, płynął wolno, ale równo i pewno po rozbudzonych falach oceanu.

Nie spieszył, jak spieszyć się zwykły nowej budowy parowce. One mijały go, parszając wzdorliwie pianą, on sunął powoli ale z godnością po niezgłębionych okiem nurtach, podobny do towarowego pociągu kolei żelaznej który patrzy obojętnie na pędzące expressey i kurjery.

— Niech leć, łatwo lecieć, gdy się ciągnie lekkie, wagony. Ja co inn- go, ja dzwigam ładunek węgla. Wiadomo każdemu, że objuczony koń wolniej biegnie od wyścigowego wierzchowca. Takie uwagi robi sobie zapewne poczciwa „towarówka” kiedy z rozmachem i hałasem przebiegnie obok niej „kurjer.” Tak też myślał i Halifaks. Statek zgorzkniał w ciężkiej pracy, zyzował niechętnie latarniami na migające go eleganckie parowce. Prędzej staną w porcie, prędzej odpoczną, jeśli naturalnie wprzód się nie rozbiją szaleńcy o podwodną skałę lub o dążący z przeciwnej strony statek.

— Zdarza się to, zdarza — mrucał staruszek-okręt. Zrzędził jak zrzędzić zwykły zmęczony długim życiem, a Halifaks tyle już razy prul nurty oceanu od Londynu do Rio Janeiro.

Tyle razy, tylu na swoim pokładzie widział biedaków, wyciągających ręce do ziemi, którą opuszczali na zawsze. Jeździł często, bardzo często, zbudowano go wyłącznie dla podróży przez ocean, gdyż tłumy Irlandczyków a nawet Szkotów i Anglików odpływały teraz regularnie do Stanów Zjednoczonych Ameryki a potem do Brazylii. Emigracya z Europy na drugą półkulę przybrała olbrzymie rozmiary. Zniesienie niewolnictwa wywołało potrzebę robotnika, ściągano go zewsząd namową i obietnicą zysku. Porty niemieckie, angielskie i włoskie roiły się od kolonistów. Nastęrczała się korzyść pewna dla kompanii przewozowych; rząd brazylijski płacił za dostawionego do Rio Janeiro człowieka 120 franków. Wyżywienie i przejazd biedaka nie kosztuje drogo, kompanie mając zapewniony zysk, werbowały emigrantów na statki, posyłały nawet swoich agentów włąb kraju, żeby namawiać lud do wychodźstwa.

Ciemny a biedny lud, złudzony obietnicami zamorskich cudów, marnował dobytek, rzucał zagon, rodzinę

i płynął tam, gdzie, wedle przyrzeczeń agentów, miał tych zagonów dostać daleko więcej.

— Będzie na czem żywić dzieci, przyodziać je dostatnio, — mówił gospodarz wyprzedawszy rolę.

I tłumy wychodźców wędrowały do Ameryki. Historia nie zna przykładu tak szybkiego wzrostu ludności, jak rosły w ludność Stany Zjednoczone. W roku 1790 liczyły one 2,900,000 mieszkańców, a w sto lat potem 1890 r. doszły do olbrzymiej cyfry 70,000,000. Samo miasto Nowy York, które przed pięćdziesięciu laty mniejsze było od Warszawy, ma dziś przeszło 2,000,000 ludności, to jest tyle prawie, ile na początku XIX wieku miały jej wszystkie stany. Pięćdziesiąt lat, jedno pokolenie, a jakaż różnica! Toż przed pięćdziesięciu laty szumiął dziewiczy las w miejscu, gdzie teraz wznosi się olbrzymie, półtora milionowe miasto Chicago. Złożyło się na ten tłum wiele krajów starej Europy, ale samych naszych wychodźców zamieszkuje w Chicago dwieście tysięcy. Dwieście tysięcy polaków; pomyślcie jak to wiele. Zebrani razem utworzyliby większe od Lwowa, Krakowa i Lublina miasto.

A czyż tylko w Chicago lub w Nowym Yorku osiadają polacy? Pełno ich na całej wschodniej półkuli, zaludnili ją od północnych śniegiem pokrytych łądów Kanady, aż do południowych krańców Brazylii. Nawet Australia liczy już dziś wielu polskich osadników. Pracują jako górnicy w kopalniach srebra, odznaczają się uczciwością i sprawnością w robocie; są też powszechnie cenieni, tworzą osobną kolonią zwaną Broken Hill i nie tracąc ani zwyczajów, ani rodzinnego języka.

Niepodobna mi opisywać po szczegóły wszystkich miejscowości, w których zogniskowali się nasi wychodźcy, dość będzie, gdy zapamiętacie, że liczbę emigrantów polskich osiadłych za oceanem podają dziś do 2,000,000.

Dwa miliony! Napisać taką cyfrę łatwo, wystarczy machnąć kilka razy piórem, żeby stanął na papierze szereg zer poprzedzony dwójką, ale spróbujcie liczyć dziesiątki, setki i tysiące, z których składa się milion a zrozumiecie wtedy może, że cyfra ta przedstawia olbrzymie zbiorowisko ludzkie.

Tyle dusz, tyle nędz, rozproszonych po świecie. Zogniskować tych wychodźców, pokierować nimi, oto o czem marzył Jakób O'Clear dla Irlandczyków i dlatego płynął do Brazylii

Halifaks, zbudowany na użytek ubogich emigrantów, był statkiem wybornie zastosowanym do ich potrzeb. Zabrał on na swój pokład bardzo niewielu wykwitnych pasażerów, bo też nie miał nawet kajut odpowiednich wymagań bogatej publiczności. Za to olbrzymi kadłub Halifaksa, jak kadłub bajecznego Lewiatana, roił się tłumem wychodźców. Żle, duszno, ciasno biedakom, znoszą jednak odważnie niewygody podróży, bo ożywia ich nadzieja lepszej przyszłości.

Znosi te same niewygody Jakób O'Clear i Stefan Luty. Tak Stefan Luty, gdyż bohater naszego opowiadania płynie także do Brazylii. Stało się to zbiegiem bardzo prostych zdarzeń.

Zostawiliśmy Stefka na haku elewatora. Wisieć na haku, to nie codzienna przygoda i mało komu uda się wywinąć z tak kłopotliwego położenia. Lutemu sprzyjało szczęście, śmiałym skokiem w nurty Tamizy zwrócił na siebie uwagę służby okrętowej, stróżującej przy statkach. Rzucono mu linę z najbliższego parowca, wyciągnięto topielca na pokład, ogrzano szklanką grogu i pozwolono przespać noc pod stosem żagli.

Przespać? Alboż może usnąć człowiek, który doznał tyle wrażeń, co biedny znajda? Nie zmrózł też oka aż do rana, a kiedy pierwsze promienie słońca obłyły się o szczyty londyńskich wież, dojrzało już w sercu ślusarczyka postanowienie opuszczenia Europy, jechania do Brazylii. Żal mu było rozstać się z matką Jakóbą, żal Wągrowca i związanych z nim wspomnień dzieciństwa, ale chciał przede wszystkim ocalić życie od skrytobójców. Takiego nie-



przyjaciela pokonać może tylko prawo. Złoży zeznanie w sądzie, oskarży zbrodniarzy o nowy napad, bo musi stać się za- dość sprawiedliwości, a potem pojedzie z inżynierem do Brazylii.

— Tam żyć można i tam można być użytecznym—my- ślał Stefan, wysyłając wiadomość, że ocalał i że czeka Ja- kóba na pokładzie parowca Stella.

O jakąż ta wiadomość wniosła radość rodzinie O'Clear- ów! Wdowa przez całą noc opłakiwała Stefka. Miała go za straconego, bo domyślała się, że padł ofiarą bremeń- skich łotrów, ale nie wiedziała kto ani jakim sposobem zdo- লাł wywabić chłopca z domu. Otwarte drzwi na ogród by- ły wskazówką, że tamtędy uprowadzono sierotę, poza tem ginęły wszelkie poszlaki. Jakób starał się uspakajać ma- tkę, zwątpił jednak sam o ocaleniu Stefana. Wiedział, jak bardzo zależało zbójcom na jego życiu, a wrócił późno do domu i dopiero po północy zawiadomić mógł policję o do- konanym zamachu. Trafi ona zapewne na ślad zbrodni, ale nie zdoła już zapobiedz nieszczęściu.

Tak myślał O'Clear w chwili, kiedy oddano mu kart- kę Stefana.

— Żyje! zawołał inżynier biegnąc do pokoju matki. Wdowa oblała łzami szczęśliwą wiadomość a Jakób pędził dorożką do portu i w niespełną godzinę ścisnął już młode- go przyjaciela, pewny, że teraz nikt wydrzeć mu go nie zdoła.

Żaden też dramatyczny epizod nie zakłócił Stefano- wi ostatnich dni pobytu w Londynie. Złożył zeznania w sądzie a potem spędzał czas na przygotowaniach do bli- skiej podróży, na wynurzeniu swej wdzięczności za troskli- wość i hojność, z jaką matka Jakóba zaopatrzyła na długo wszystkie jego potrzeby.

Napisał także obszerny list do Wagrowca. Prosił w nim o przebaczenie za samowolne opuszczenie warsztatu, opisywał zdarzenia ostatnich miesięcy, donosił, że wyjeż- dża z panem O'Clear'em do Brazylii i błagał o wiadomość, którą miał nadzieję odebrać na poczcie w Rio Janeiro.

— Nie będę spokojny — pisał — pokąd nie przeba- czy mi ksiądz proboszcz, pokąd nie otrzymam Jego błogo- sławieństwa. Postąpiłem jak niewdzięcznik i za to też omal nie spotkało mnie nieszczęście najprzód w Bremie, a potem tu w Anglii w Londynie...

Londyn, Anglia! Zniknęły one oddawna z oczu po- dróżnych, płynących na pokładzie Halifaksa. Okręt minął już kanał, i Stefan po raz pierwszy w życiu doznawał tych, żadnym piórem nie opisanych wrażeń, jakich doznawał mu- si każdy człowiek, podziwiający bezmierność Atlantyku. Nieskończoność nieba nad ziemią i nieskończoność wód pod stopami, oto co uderzyło przedewszystkiem Lutego. Je- śli czuł się oderwanym od pnia liściem na stałym lądzie, to tu w obec miliona gwiazd przetykających sklepienie nie- ba i odbitych w wód sklepieniu, był prochem, ciśniętym na pastwę wzburzonych fal. Cóż znaczył okręt w obec spie- trzonych bałwanów? Rzuciły nim one jak swawolny chło- piec podrzuca na dłoni zgryzioną łupinkę orzecha.

Stefan siedział na pokładzie, pogrążony w zadumie nie spostrzegł, że Jakób stoi przy nim. Inżynier odgadł myśli chłopca, bo w czasie pierwszej przez ocean podróży doznawał takich samych zdumień. Położył rękę na ramie- niu ślusarczyka i podziwiał z nim razem cudny zachód słoń- ca. Zdawało się ono roztopiać w rozświetlonych falach, płomienny krąg zniknął na horyzoncie ale zostawiał za so- bą smugę. Okręt płynął w nieznaną dal po olśniewają- cych nurtach. Woda, przepojona słońcem, bałwanała się złotymi kłębami. Na pogodnym niebie świeciły już gwia- zdy, wiatr był jednak silny i podnosił wysoko grzebienie fal. Okryte pianą, do śnieżnej grzywy podobną, wygląda- ły jak stado roznuranych potworów.

— Smoki — powiedział Stefan, wskazując Jakóbowi bijące o okręt bałwany.

— Tak, ocean tłomaczy wiele bajecznych podań.

— Pan się będzie śmiał a ja żałuję, że to tylko poda- nie. Żeby tak spotkać porządnego smoka i zmódz żywą bestię, byłoby okrutnie przyjemnie.

— Pewnie, ale wierz mi Stefanie, nieraz jeszcze bę- dziesz miał sposobność uporać się z gorszym od żywego smokiem. Ileż czasu upłynie zanim ludzie zwyciężą po- kutujące na świecie przesady. Przesąd to potwór stra- szniejszy od wszystkich drapieżnych i bajecznych.

— Prawda, ja znajdę wiem najlepiej, że jest dużo zła i niesprawiedliwości, zawsze to jednak nie to, co wziąć się za bary z stugłównym zwierzem.

— Sto głów ma własna nasza dusza. Zdaje ci się, że zmogłeś wszystkie pokusy a nagle wypełźnie nowa z kąta i trzeba się z nią mordować. Życie człowieka to walka nieustanna. Ale siedziemy tu za długo, czas upłynął nie- postrzeżenie, wiatr jest mroźny; wróćmy do kajuty. Bę- dziesz wkrótce widział inne pogodniejsze nieba, tymczasem strzedz się należy zaziębienia. Żółta febra niebezpieczna jest dla rekonwalescentów, zdrowi i silni mogą z niej żarto- wać — mówił Jakób schodząc za Stefanem z pokładu.

Stanęli we drzwiach prowadzących na schody: Były one prawie ciemne, bo ktoś przygasił światło. Luty z tru- dnością rozpoznał stopnie, szedł pierwszy macając ręką ścianę. Zniecierpliwiony karkołomną wyprawą odkręcił lampę, zaledwie jednak płomień padający od niej oświetlił jego twarz, usłyszał nagle krzyk. Głos wydał mu się być znajomym.

(d. c. n.)



## ZE ŚWIATA.

**Z Transwaalu.** Po ukończeniu w roku zeszłym li- stów Janka Z., żołnierza generała De Weta, nie podawali- śmy w „Wieczorach” wiadomości o losach Burów. Przez rok cały prowadzili oni z Anglikami wojnę tak zwaną par- tyzancką, rozdzieleni na trzy główne oddziały pod dowódz- twem takich dzielnych mężów, jak Delarey, De Wett i Bo- tha; dwóch ostatnich portrety podajemy na str. 116.

W końcu lutego Delarey pobił oddział lorda Methue- na i jego samego wziął w niewolę, lecz nie trzymając go dłu- go, wypuścił na wolność. Oprócz tego zdobył działa, ogro- mne zapasy żywności i amunicji, mnóstwo koni, wołów i mu- łów. Wielkie te zwycięstwo pokrzepiło ducha w obu kra- jach Transwaalu i Oranii.

Anglicy urządzają na lotne oddziały Burów formalne oblawy. Przecieli kraj szeregiem drewnianych forteczek, zwanych blockhaus'ami, połączonych z sobą kolczastymi drutami. Burzy wynaleźli doskonały sposób na te druty. Puszczają na nie rozwścieczone stada wołów, które rogami swymi przerywają te druty, jak nitki, i ułatwiają przejście ludziom, koniom i wozom.

W ostatnich czasach jednak wzrasta nadzieja, że ta długa i szkodliwa dla obu narodów wojna ukończy się na rescie. Król Edward VII pragnie koniecznie przed swą koronacją zawrzeć pokój, i zdaje się, że przerwie się ten nie- szczęsny rozlew krwi ku pożytkowi stron wojujących i dobra ludzkości.



**Sven Hedin**, głośny podróżnik, opowiada ciekawe szczegóły o podróży swej po Tybecie i pustyni Gobi w Mongolii, według zdania podróżników niewiele mniejszej od pustyni Sahary. Do samej Lhasy dotrzeć nie zdołał; po licznych przygodach zbliżył się do „miasta świętego” na odległość pięciu dni marszu. Natomiast przebył setki mil w Turkestanie chińskim, gdzie rozbił główną kwaterę nad jeziorem Lob-Nor i stamtąd urządził wyprawy w różnych kierunkach; największa była przez Tybet. Głównym niebezpieczeństwem na pustyni Gobi są, zdaniem Hedina, piaski lotne, które tworzą w czasie burzy słupy do 300 st. wysokości. Wicher, niosący piasek nie jest gorący, lecz chłodny, szaleje bowiem podczas zimnej pory roku. Gdy się zerwie, uniemożliwia zupełnie pochód, a trwa często dzień lub półtora, tak, że trzeba położyć się i czekać spokojnie, póki się widnokrąg nie rozjaśni. Sven Hedin odbywał wszystkie podróże w zimie i wiosną; w lecie i na jesieni pobyt na pustyni jest z powodu niesłychanego upału niemożliwy. Sven Hedin napisze o tej podróży obszerne dzieło.

**Kosztowne jajko wielkanocne** przysyłane bywa corocznie do Watykanu dla Ojca św. Ma 20 cm. długości, skorupka składa się z czterech kawałków najpiękniejszej kości słoniowej i wyłożona jest błękitnym atłasem. Żółtko zaś wyobraża skrzyneczkę ze szczerego złota, zawierająca wspaniały, w diamenty oprawny, rubin. Wartość tego niezwykłego jajka oszacowana jest na 50,000 fr, a ofiarodawca jego nieznany. Każdego roku jajko wysyłane jest z innej miejscowości.

### Myśli i zdania.

**Tales z Miletu**, jeden z siedmiu mędrców Grecyi, z wielką przytomnością umysłu odpowiadał szybko na każde pytanie. Przytaczamy tu kilka z takich odpowiedzi.

Zapytany: Co jest najstarszem?

Odpowiedź: „Bóg, ponieważ był od wieków.”

Co jest najpiękniejszym?

— Świat, ponieważ jest dziełem Boga.

— Co jest najobszerniejszem?

— Przestrzeń, ponieważ wszystko obejmuje.

— Co jest najtrwalsze?

— Nadzieja, bo choć wszystko utracimy, ona nam pozostaje?

— Co jest najlepsze?

— Cnota, bo bez niej nie można zdziałać nic dobrego.

— Co jest najszybsze?

— Myśl, bo w mgnieniu oka przebiega świat cały.

— Co najsilniejsze?

— Konieczność, bo pokonywa wszelkie przeszkody.

— Co najłatwiejsze?

— Dawać drugim rady.

— Co najtrudniejsze?

— Znać samego siebie.

— Co najmędrsze?

— Czas, bo uczy wszystkiego i wszystko dokonywa.

### SZARADA.

Różia D. dla Jaskółki.

Ze wschodem słońca *pierwszy* byt zaczyna,  
Z zachodem krótkie swe istnienie kończy;  
Skraca go każda przeżyta godzina,  
Zapada w przeszłość. Z wczorajszym się łączy  
I jako nowe ogniwo się wplata.

\* \* \*

Dla jednych często *drugim-trzecim* bywa,  
Dla innych ławym, bez chleba, okrycia,  
Innych pociesza, albo w kir okrywa,  
I złę wywoła drogich przypomnieniem.  
Tym, jest początkiem, tamtym końcem życia! —  
Wszystko, zwyczajnem rannem pozdrowieniem.

### ŁAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.

ul. J. Mularski.

5	2	a	0	k	e				
M	2	r	z	g	n				
d	a	3	4	0	z				
0	b	3	1	e	n				
8	2	0	m	a	h				
1	0	h	e	n	a	6			

Sylaby: ba — ka — ła — rze — mu — myk — nar — c — pro — trah — rzy — ka.

- 1) Instrument dęty.
- 2) Człowiek rasy etyopskiej.
- 3) Kwiat wiosenny.
- 4) Ten którego nie brakuje.
- 5) Pseudonym autora wielu książek dla ludu.
- 6) Rodzaj statku wodnego.

W kwadracie o 6 przedziałach ułożyć wyrazy, aby litery oznaczone liczbami złożyły nazwy dwóch państw w połud. Europie.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 12-go

Szarady: Ba — ka — ła — rze.

### Łamigłówki sylabowej.

- 1) Achmed.
- 2) Nassau.
- 3) Cudzoziemiec.
- 4) Zych.
- 5) Yap.
- 6) Czu.
- 7) Wenus.
- 8) Łazarz.
- 9) Arc.
- 10) Długosz.
- 11) Yachty.
- 12) Sobieski.
- 13) Łomnica.
- 14) Arab.
- 15) Wisztyniec.

Anczyc Władysław — Duch Puszczy i A. B. C.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

**TREŚĆ:** Dziecko, wiersz (z ryc.) — Z listów do młodszej przyjaciółki, przez M. S. — W Suchowskim dworze, przez Zofię Kowerską. — Hajdamacy (z ryc.) — Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką. — Ze świata: Z Transwaalu Sven Hedin (z ryc.) — Łamigłówki i rozwiązania. — Dodatek: Pierwszy list, wiersz przez A. Suchocką (z ryc.) — Co znalazłem w błotach i kałużach, przez M. Weryho. — Siostrzyczka, przez Janinę Szląskowską. — Poselstwo z krainy czarów, opowiedział B. Buyno. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Dworzani królewicza Jakóba, przez Teresę Jadwigę.



## Pierwszy list.

Mały Stefcio pisać umie,  
Idzie mu to wcale gładko,  
A już czytać — to potrafi  
Jak mamusia, albo tatko.

Gdy zobaczy listonosza,  
Wnet z pośpiechem drzwi otwiera  
I gazety, książki, listy  
Dla rodziców swych odbiera.

Lecz dla niego nigdy z pocztą!  
Nic listonosz w torbie nie ma!  
Myśli Stefcio nad tem długo,  
Wsparłszy się rączkami dwiema.

A gdyby też on do kogo  
Tak napisał liścik mały...  
Jak to musi być przyjemnie!...  
Oto pomysł doskonały!

Wszak na gwiazdkę śliczny papier  
Podarował mu wujaszek,

A na każdym arkusiku  
Jakiś kwiatek, albo ptaszek.  
Co tu wybrać dla mamusi?  
Niechaj będą niezabudki. —  
Stefcio wzdycha; nie tak łatwo  
List ułożyć, choćby krótki.

Wreszcie pisze: „Kocham mamę,  
I nic nie mam donieść więcej,  
Tylko, że całuję mamę,  
Razy milion... sto tysięcy.”

Na kopercie adres kładzie:  
„Do najdroższej mojej Mamy.”  
Patrzy oknem: A, listonosz  
Idzie tutaj, już u bramy;



Stefcio wsuwa list w gazety,  
I nieśmiało mamie daje;  
Sam, z serduszkim w głos bijącym  
Niedaleko sobie staje.

Wtem z dziennika list wypada —  
Mama czyta uśmiechnięta,  
Stefcio do niej się przygarnia  
Widząc, że jest zeń kontenta:  
— Daruj, mamciu, mi tym razem,  
Pismo krzywe, są dwie plamy,  
Lecz pisałem, żebym także,  
Mógł otrzymać list od mamy...

A. Suchocka.

## Co znalazłem w błotach i kałużach?



### I. Błotniarka.

Był piękny dzień majowy,  
kiedym poraz pierwszy sta-  
nął przy stawie w parku za  
rogatkami Belwederskimi.

Staw był zarośnięty i za-  
mulony; w jednym miejscu  
cały pokryty rzęsą (drobne  
pływające listki). Zbliżyłem się  
i widzę Błotniarkę o dużej  
muszli. Wysunęła głowę

i różki wyprostowała, jak kołki, a wtedy spostrzegłem  
dwoje czarnych ocząt, które były tuż u podstawy różków.

Co prawda do tego czasu sądziłem, że mięczaki nie  
mają oczu.

Błotniarka była zajęta zjadaniem rzęsy. Od czasu do  
czasu kurczyła swoją mięsistą nogę i tym sposobem po-  
suwała się po powierzchni wody.

Zajął mnie ów ślimak, i postanowiłem wziąć go do  
ręki, żeby przyjrzeć mu się bliżej, ale zaledwie wysuną-  
łem rękę, gdy błotniarka natychmiast wciągnęła nogę  
i głowę do muszli i jak kamień opadła na dno stawu.

Tyle ją tego dnia widziałem.

M. Weryho.



## SIOSTRZYCZKA

**S**łakieś w domu zamieszanie; Loluś płacze, Ania patrzy na niego smutna i wystraszona; dziadunio, tak zawsze dobry, czegoś bardzo się gniewa, wymierza wnukowi surową karę... Cóż się stało? Oto Loluś uderzył siostrzyczkę; zdaje się nawet, że na rączce biednej Ani zostały siniaki.

O, bo on wcale nie jest dobrym bratem! Ania codzień cichutko, w kąciку płacze na niego; ale tak się dobrze z tem ukryć potrafi, że starsi dotąd nie domyślali się niczego

Dzisiaj dopiero dziadunio, drzemiąc sobie w fotelu, z ulubioną fajeczką w ręku, był świadkiem smutnego zajścia między dziećmi. Loluś, chociaż schwytany na gorącym uczynku, zaciął się, nie chciał przeprosić Ani, a dziaduniowi powiedział nawet coś bardzo niegrzecznego.

Odprowadzono go do dzieciennego pokoju i skazano na samotność, dopóki się nie upamięta i nie przyrzecze poprawy. Anię postanowiono odesłać na wieś do babci.

— Będę siedział do wieczora, ale nie przeproszę! — pomyślał mały złośnik, rzucając się z płaczem na dywan. Płakał długo... długo... wreszcie zasnął bardzo zmęczony. Gdy się obudził, uczuł poduszkę pod głową, i zobaczył ciepłą chustkę, którą go ktoś okrył podczas snu. Zerwał się szybko; ale nikogo nie było w pokoju. Usiadł i zaczął rozmyślać. Zrozumiał teraz, jak bardzo obraził dziadka i swoją słodką, ustępną, kochaną siostrzyczkę, która zносиła jego grymasy tak łagodnie i tak umiała z nim się bawić! Ona pewnie z radością zgodzi się pojechać do babci; tam ją będą pieścili, będzie wołała towarzystwo Stasia, ciotecznego braciszka, jak jego, Lolusia, który jej tak dokucza! Zrozumiał, czem była dla niego, kiedy miała go opuścić, może na długo!

Drzwi skrzypnęły; chłopczyk drgnął i podniósł głowę, weszła służąca z wieczerzą: była herbata, kawałek pieczeni i kromka chleba; Loluś nie śmiał spytać, dla czego nie dano mu jabłka, jak zwykle; domyślił się zresztą łatwo. Nie mógł jeść, a kiedy znów został sam, zrobiło mu się tak smutno, że rozplakał się rzewnie, ale już bez gniewu. Wtem w drzwiach uchylonych pokazała się jasnowłosa główka Ani; dziewczynka zajrzała nieśmiało, po chwili ścisnęła winowajcę, zalanego łzami.

— Mój biedny Lolusiu — mówiła — przeze mnie siedzisz tu sam jeden. Tak mi ciebie żal! Dziadunio pozwolił wejść na chwilkę. Weszłam, ale spałeś. Ja się na ciebie wcale nie gniewam, tylko widzisz, dziadunia trzeba przeprosić koniecznie!

— Nie... pojedziesz na wieś? Nie zostawisz mnie samego? — zapytał Loluś łkając.

— Prosiłam mamusi, żeby mnie nie posyłała bez ciebie. Lubię bardzo wieś, kocham babunię i małego Stasia, ale tobie byłoby smutno, i jabym tęskniła. Chodź, Lolusiu, do dziadunia.

Chłopczyk rozumiał teraz swoją winę. Zobaczywszy dziadunia w drugim pokoju, objął jego kolana, tuląc do nich splakaną twarzyczkę.

W chwilę później, kiedy dzieci zapomniały o swoich zmartwieniach i pobiegły do zabawy, dziadunio, który bez nich długo nie umiał się obejść, stanął w progu dzieciennego dokoju: Loluś, siedząc na małym krzeselku, zjadał krem z talerzyka, który przed nim trzymała Ania, zarumieniona z radości. Dziadzio przypomniał sobie, że krem był ulubionym przysmakiem dziewczynki, że nie jadła go ona wcale tym razem, gdyż wszystko, co jej dali, schowała dla brata — oczy mu zwilgotniały i chcąc ukryć wzruszenie, puścił wielki kłęb dymu z nieodstępnej fajeczki.

Janina Szląskowska.

## POSELSTWO Z KRAINY CZARÓW.

(Dalszy ciąg).

— Co to? Płaczesz? Ty wieszczka, ty istota naziemska, płaczesz tak samo jak biedni ludzie śmiertelni? — zapytała z niechęcią. — Z ludzkim ciałem, wzięłaś na siebie i ludzkie niedole... Cóż ci się stało?

— Czarodziejskie trzewiki zginęły! — wyjąkała Przekornatka.

— Nie może być! — przerwała Krętogłówka. — Chyba żartujesz! Nie mogły zginąć!

— Zginęły! — powtórzyła Przekornatka. — Ja ich nie mam, i dzieci ich nie mają... Niewiadomo co się z nimi stało... Co teraz robić?

— Co robić? Trzeba je znaleźć! — odpowiedziała Krętogłówka.

— Jakim sposobem?

— Trzeba pomyśleć... Wszystkiego można dokonać przy usilnem staraniu — powtórzyła z przekonaniem Krętogłówka. — Muszę się namysleć...

— A co robiłaś cały ranek? — zapytała Przekornatka.

Krętogłówka westchnęła.

— Miałam same zmartwienia — odrzekła. — Pamiętasz tego chłopca, którego nazywają Waciem?

— Ten duży chłopak z czerwoną twarzą, który się wyśmiewał z siedmiomilowych butów?

— Ten sam. Zastałam go dziś rano, jak siedział nad stołem, kręcił się i wzdychał, bo nie umiał lekcyi. Pomyślałam, że jeśli mu dopomogę, to może będzie dla nas uprzejmiejszy, i dałam mu Płaszcz Mądrości.

— No i cóż?

— Najpierw zaczął się śmiać, że to głupstwo, i że peleryna stara i zniszczona; ale gdym mu powiedziała, że jak ją włoży, to będzie umiał wszystko bez uczenia się, powiedział, że spróbuje i poszedł do dworu, gdzie miewa lekcyę z kilku kolegami. Zajrzałam przez okno i widziałam, że nauczyciel się gniewał bardzo, kazał mu odejść i postawił zły stopień w dzienniku. Potem chłopiec wyszedł z domu, złażał mnie i rzucił na ziemię Płaszcz Mądrości!...

Przekornatka zamyśliła się.

— Królowa ma słusność — powiedziała po chwili. —



Wszystko się zmieniło na świecie: dzieci są daleko więcej pieszczone niż dawniej, a te pieszczoty i pobłażanie wyrobiły w nich zuchwalstwo, złośliwość i lenistwo!

— Nie wierzę w to! — zawołała Krętogłówka. — Wszystkie dzieci nie mogą być złe. Tylko my nie wiemy jak trafić do ich serduszek...

— Trzeba schować Płaszcz Mądrości — powiedziała Przekornatka. — Może się przyda innym razem...

Krętogłówka sięgnęła do torby, którą miała na ręku i... zbladła:

— Niema! Musiałam go zgubić! Niema! Może ten chłopiec wziął...

Była tak zrozpaczona, że Przekornatka objęła ją za szyję, zaczęła całować i pocieszać.

— Krętogłówko! kochana Krętogłówko! — wołała. — Nie martw się... Ja zgubiłam trzewiczki, tyś zgubiła płaszcz... Ale choć ani ty, ani ja nie możemy powrócić do naszego kraju dopóki nie odnajdziemy zguby, nie opuścimy się i pozostaniemy na zawsze razem, na tej smutnej ziemi!

— Ach! trzeba nam było słuchać królowej i nie śpieszyć na ziemię! — westchnęła Krętogłówka. — Wraz z ludzkim ciałem, przywdzialiśmy ludzkie troski i niedołęstwo! Zamiast pomagać ludziom, same potrzebowałybyśmy pomocy!

— Ach, jaka szkoda, że nam ukradli nasze cenne dary!

Krętogłówka otarła oczy i przemówiła już spokojniej:

— Nie trzeba jednak rąk opuszczać... wypada coś poradzić.

Wtem pod oknem rozległo się śpiewanie ptaszka.

— To ptaszek z naszego kraju! — zawołała z radością Krętogłówka. — Może nam co powie...

Wybiegły do ogródka, gdzie na gałęzi siedział piękny, niebieski ptaszek i śpiewał. Dla ludzkich uszu, śpiew jego był zwykłym, ptasim świegotem, lecz wieszczki wsłuchiwały się uważnie w ten głos, dający im różne wskazówki. Słuchały i uśmiechały się, gdy ptaszek śpiewał. Przekornatka spojrzała z niepokojem na słońce bliskie zachodu, i gdy śpiewak przerwał na chwilę, zawołała:

— Prędzej! prędzej! prędzej!

Lecz już było zapóźno: ptaszek zaczął wierać parę razy coraz ciszej... i umilkł. W tej samej chwili słońce zaszło.

— Jaka szkoda! — westchnęły wieszczki.

Zrobił się szum wśród krzaków; wyskoczył z nich czarny kot i przebiegł w susach przez ogródek: ptaszek zerwał się i uleciał. Wieszczki powtórzyły to, co ptaszek zaśpiewał:

„Jest tu w pobliżu ciemna jaskinia, a w niej przebywa wieszczka stara i mądra, nazywa się Doświadczenie. Rada jej więcej warta od złota: jeżeli chcecie pomocy, udajcie się do niej i...”

I w tej chwili słońce zaszło — dokończyła Przekornatka.

— Jaka szkoda! — westchnęła Krętogłówka. — Ale mimo to, musimy znaleźć tę dobrą wieszczkę.

## VIII.

## W y ś c i g i .

We wszystkich willach i domkach w letniczej osadzie, i w samym dworze, i u dzierżawcy na folwarku wielki ruch panował od rana pomiędzy dziećmi, przygotowującymi się do wyścigów i zabawy, wyprawianej z powodu urodzin Stasia. Ale pomimo tak przyjemnego oczekiwania, nie było wśród dzieci wesołości, ani zgody. Nic się nie wiodło, nic im nie szło składnie ani po myśli, a sprzeczki powstawały wszędzie, prawie bez powodu, sprzeczki kończące się płaczem i upomnieniami starszych.

Helusia i Staś, starali się urządzić wszystko jak najlepiej, ale i im dawały się we znaki różne niepowodzenia. Staś wylał atrament na swoją kokardę; trzeba było robić nową, a tu jak na złość Helusi zapodziały się gdzieś nożyczki i naparstek; nożyczek musiała pożyczać od bony, i po długim szukaniu zaczęła szyc bez naparstka; — złamała cztery igły i ukłuła się tak mocno, że krew popłynęła z paluszka.

Gdy się poschodziły zaproszone dzieci, zaczęła się zabawa, ale przy pierwszym już wyścigu pieszym jeden z chłopców upadł i zbił sobie nos, drugi źle stąpnął i został w drodze, trzeciemu odpadł obcas od bucika, a pomiędzy pozostałymi powstała sprzeczka o to, który z dwóch dobiegających do mety. Władzio czy Jurek, przybiegł właściwie pierwszy. — Tak się jakoś złożyło, że jedni uważali za zwycięzcę Jurka, drudzy Włodzia: w oczach im się widocznie zmąciło. Co zaś najdziwniejsze, to, że trzeci chłopczyk, zawsze grzeczny i uprzejmy Jaś, tym razem sprzeczał się a nawet kłócił z resztą towarzyszy.

— Przecież to ja najpierwszy dobiegłem do mety, a oni nie chcą przyznać! — wołał z gniewem.

— Jakże ci mamy przyznać, kiedy nie biegałeś wcale! — przekładał mu Staś.

— Nie biegałem? Jakiś ty dowcipny! Dowodziecie mi, że nie biegałem! Przed rozpoczęciem wyścigu wiatr zerwał mi kapelusz, pobiegłem za nim, ale nie dogoniłem, bo wpadł do stawu... Zawróciłem do domu, porwałem jakąś starą czapkę, co w sieni wisiała i wróciłem na czas. Dobiegłem pierwszy, czapkę rzuciłem, a oni upierają się, że mnie nie było!

Chłopcy zaśmieli się głośno.

— To awantura! Chce brać nagrody, a wcale nie biegał — zawołał Wacio.

— Nie biegałem! Patrzcie go! Nie biegałem!

I rozgniewany chłopiec zacisnął pięści.

— Cicho! cicho! Dajcie pokój! — wołały starsze dzieci, powstrzymując ich.

(d. c. n.)

## ZAGADKA.

Wprost zaimek, a wspak rzeka,  
Od Krakowa niedaleka.



## ŁAMIGŁÓWKA KRYSZTAŁOWA.

ul. Kukulka.

- 1) Spółgłoska.
- 2) Dowód pamięci.
- 3) . . . . .
- 4) Druga żona Mieczysława I.
- 5) Samogłoska.

Środkowy rząd oraz środkowe litery złożyć mają imię żeńskie.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 13.

Szarada: Kieł — ba — sy.

## Zadania arytmetycznego:

W ciągu godziny jeden statek przepłynie wiorst 7, drugi 8, czyli, że przestrzeń dzielącą oba statki zmniejsza się co godzina o 15 wiorst. Podzieliwszy 135 przez 15 — otrzymamy 9, co znaczy, że statki spotkają się po 9 godzinach.

## Skrzynka do listów.

Prosimy naszych korespondentów, aby przyklejali do listów właściwą ilość marek, żeby nie narażać redakcyi na koszty podwójnego ich opłacania.

**Dobre rozwiązania zadań, jako też zadania własnego układu nadesłali:** Sokrates z Łodzi, Jodełka, Elutka Mierzwińska, Wodnik z Tereku, Remiś G., Gałązka Bzu z nad Wołgi, Leta, Kmicic, S. Sokołowski, Zosia Sokołowska, Danuska, Żabka z nad Rosi, Zosia Kramsztykówna, Gil, Wilk z Sosnowca, H. Leitgeber, Stanisław Horodecki, Eunice, Zbyszko, Janinka Starkman, M. i S. Lehr, Czarnobrewa, Muszka z nad Pełtwi.

**Jodełka i Zbyszko** po długim milczeniu odezwali się znowu, witam was i cieszę się obietnicą nawiązania z wami stałej korespondencji.

**Lirenka i Rysak** niecierpliwą się pewnie, czekając dość długo na odpowiedź i myślą może, że Jaskółka nie rada przyjęła ich listy. Bynajmniej tak nie jest — z przyjemnością listy wasze odczytałam. Dzielę twą radość Lirenko, że nareszcie wiosna uśmiecha się do nas, a chociaż ubiegłe święta pod względem pogody dawały nam złudzenie, że jesteśmy w grudniu a nie na początku kwietnia, miła nadzieja, że słońce potrafi prędko śnieg roztopić i błoto wysuszyć, pocieszała wśród zadymki. Czy mimo brzydkiej pory wesoło przeszły wam święta? Może Rysak nauczył się posługiwać swoim aparatem fotograficznym, w takim razie proszę o waszą fotografię jego roboty. Mamie i Babuni wdzięczna jestem za pamięć.

**Wołodjowskiemu z Kaukazu.** Bardzo mnie zajmują ciekawe opisy Groźnego; o mieście tam dotąd mało słyszałam, kopalnie nafty muszą być godne zwiedzania, gdybyś kiedykolwiek miał więcej czasu i przesłał mi garstkę szczegółowych wiadomości, podzieliłabym się niemi z naszymi czytelnikami.

Nie słuszna twa wymówka **Jastrzębie Pióro**, że na kilka waszych listów nie odpisałam, nie zdarza mi się nigdy, bym jakikolwiek list bez odpowiedzi pozostawiła. W jakim jesteś wieku i wiele masz rodzeństwa, a jeżeli które z nich pisało do mnie, to pod jakim pseudonimem? twojego dotąd nie znałam. Wspominaś o szkole, ale sądząc z twego pisma za mały jesteś, byś już mógł chodzić do gimnazjum.

Ucieszyłam się bardzo mój mały **Zygmusiu z nad Wisły**, że mnie kochasz za moje odpowiedzi, które ci czytuje **Helenka** i że ledwie umiając stawiać literki, zapragnęłaś napisać do mnie. Ja też bardzo kocham dzieci, szczególnie gdy są dobre i grzeczne a nie wątpię, że mój mały przyjaciel do takich się zalicza. Nieprawdaż?

**Helence z Warszawy.** Jużemy z Lirenką biadały i cieszyły się nad wiosną tegoroczną, której przyjścia z upragnieniem oczekujemy. Wszystkie powieści p. Bukowieckiej czytałam, a zawsze z żywym zajęciem. Charakter Józia Molskiego bardzo sympatyczny, prawy i dzielny Stefek Luty niesłychanie mi się podoba; z równą wam ciekawością śledzę jego przygody w każdym numerze „Wieczorów”.

Dalszy ciąg **Paniczyka** p. Morawskiej drukować się będzie w tym roku.

**Dziękuję Junakowi i Pieszczoszce** za życzenia świąteczne, pozjadaliśmy już wszystkie baby i mazurki, a wyjeszcze ze śledzikiem postnym w przyjaźni i dopiero za parę tygodni zaśpiewacie Alleluja! **Pieszczoszka** na lat siedm umie już dość dużo, kiedy nawet za rok o egzaminie myśli. Musi wam być wesoło bawić się razem i pewno nieraz figle płatacie, ja nie mam już tak małych braciszków do zabawy, ale mam siostrzeńców w wieku Janka i Pieszczoszki, którzy bardzo lubią bawić się z cicią Jaskółką i słuchać głośnego czytania.

Z listów waszych **Braciszku Rybitwy i Mały Tolusiu**, dowiedziałam się, żeście mnóstwo ciekawych rzeczy widzieli w Warszawie, a dzieciom nietylko z książeczek, ale z uważnego patrzenia rozwija się w główkach. W mieście widzą dzieci duże kościoły, domy, widzą jak te domy budują, jak układają na ulicach bruki, asfalt wylewają, słowem widzą naokoło siebie owoce przemysłu ludzkiego. A na wsi czyż nie mają na co patrzeć i czego się uczyć? tam każde drzewo i krzaczek mówi im o życiu całej natury, na czem oko spocznie, czy na ziemi zoranej, czy na łąkach i lasach, wszędzie ujrzy piękne i mądre dzieła Boże. Niech tylko dzieci patrzeć umieją!

**Różyczce z Czernihowa.** Dawno już nie pisałaś do mnie i z przykrością dowiaduję się, że to brzydka influenza była tego przyczyną, już teraz zapomnijmy o niej. Wasze miłosierne serduszka nigdy nie zapominają o biednych rówieśnikach, przytulęk św. Zofii nie skrzywdził Kolonii Letnich, bo loterya nagrodziła ujmę uczynioną skarbonce Kolonii. Sukienki były odebrane i oddane bardzo biednym dzieciom, „Bóg wam zapłać” w ich imieniu.

**Biała Róża** spóźniła się z przysłaniem ćwiczenia, przyszło już po wydrukowaniu sprawozdania, a niestety znalazła się w niem wykluczona spółgłoska w słowie *zabierać*. Zgodnie z twem życzeniem zaliczę cię do grona korespondentek, wraz z **Muszką z nad Pełtwi**, która się tego w tak miłych i serdecznych słowach domaga. Za życzenia dziękuję.

Jak zwykle dla braku miejsca nie mogę, jakbym tego pragnęła, podziękować każdemu osobno za przysłane mi serdeczne życzenia świąt wesołych, bądź to na ładnych kartach, bądź listownie od: **Śnieżycy, Orlej Skąty, Kocięcia, Marysieńki i Halszki Łubieńskich, Wańdzi i Jadzi B. z Penzy, Białej Mewy z Monaco, Irenki Mańkowskiej z Rzymu, Wielkopolańki, Trzech Raczków z Siedlisk, Łochozwianki i Laszki.**

Na wierszyk **Zosi z pod Skalbmierza:**

Tam, gdzie gdzie stary zamek i Maryacka wieża  
Myśli o Jaskółce Zosia z pod Skalbmierza.

odpowiadam również krakowiaczkiem:

Tam, gdzie gród Syreni przegląda się w Wiśle,  
O mych przyjaciółkach zawsze wdzięcznie myślę  
Wasza Jaskółka.

## Ofiary: Na przytulęk św. Zofii.

Genia S. 30 k., Zofia S. 50 k., Michał T. 30 k., Bronisław S. 1 r., Zosia S. 30 k., Jadzia W. 15 k., Jadzia S. 20 k., Alicja M. 25., Gustawa C. 20 k., Helenka B. 20 k., Aniela J. 15 k., Janina F. 20 k., Halinka G. 15 k., Janinka R., 45 k., Gabryela H. 15 k., Helena T. 20 k., Marya G. 15 k., Mania B. 15 k., Władysław O. 1 r., Piotr W. 50 k., Kazimierz G. 40 k., Aleksandra C. 20 k., Emilia G. 30 k., Henryk K. 50 k., Paweł W. 50 k., Emilia H. 15 k., Janinka Kl. rub. 1., Zofijka B. kop. 20., Alinka i Janeczka L. kop. 15. **Na Kolonie Letnie:** Dzieci z Antopola rub. 3., **Na wpis dla biednego ucznia:** Helenka z Warszawy kop. 40., Romcio Kozicki rub. 2, Do uznania redakcyi: Bezimiennie rub. 1.